№ 23.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 9. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Dzisiejsza cała literatura bierze jeden tylko kierunek, a kierunkiem tym jest polepszenie bytu najuboższéj i zarazem wszędzie najliczniejszéj klassy ludu. Zmienić, odwrócić tego kierunku nikt nie potrafi, bo wszyscy już ku téj stronie zwrócili swoje oczy, bo co innego ludzi nie unosi, nie obchodzi i nawet nie bawi. Lekkie dawniéj powieści, trudniące się błachemi powiastkami, dzisiaj weszły na to pole. Eugeniusz Sue swemi Tajemnicami Paryża i Żydem wiecznym więcéj zadał do myślenia ludziom na raz niż wszyscy pisarze polityczni i historyczni od najdawniejszych wieków do naszych czasów. Niwy téj w żadnym kraju niezaniedbano. Wszędzie ludzie głębocy a cnotliwi, zwracają swą uwagę na tłumy ludu. Leżało to prawda w chrześciaństwie, ale dawniejsi najgorliwsi chrześcianie choć widzieli milionów smutne położenie, łkania i cierpienia, niewidząc sposobu na zaradzenie złemu, starali się wzmocnić tylko ducha w cierpiących. Na umierającego niewinnie na torturach wołał wyższego pojęcia duchowny: niewinnie cierpisz, jesteś srodze męczony, ale wnoś modły do Boga, aby ci łaski udzielił, a wycierpieć potrafisz. Wołał człowiek ludzkości, bo nie czuł siły, aby smutne stosunki zmienić potrafił. Dziś się ma rzecz inaczéj: tych, co widzą nędzę milionów, są już krocie, ci się znają, jakie sprężyny dla dobra ludzkości skutecznie kierować się dadzą i dla tego nie kończą na perswazyi, aby się w cierpliwość uzbroić, ale żeby od wszystkiego co jest złe, ludzkość ile możności wyswobodzić.

U Francuzów pierwsi wyrzekli St. Simoniści, którzy dziecinnie marzyli o nowém chrześciaństwie, iż dotychczas człowiek przywykł żyć wydobywaniem pożywności z człowieka, kiedy tymczasem wszyscy ludzie wspólnie powinni całą siłą pożywną wydobywać z kuli ziemskiéj, która zawiera nieprzeliczone skarby. St. Simoniści przeminęli ze swą religią; sami się śmiali ze siebie, ale zostało w pojęciu ludzkiém ich najogólniejsze zdanie i rozwija się pod innemi postaciami. Proudhon wydał pismo, w którém swemi pojęciami o własności rzucił trwogę pomiędzy tych wszystkich, którzy się znają na skutkach dezorganizacyi społeczeństwa od razu dokonanéj; z témwszystkiém sam Proudhon tłumaczy się teraz, że go niezrozumiano, że mu krzywdę wyrządzono utrzymywaniem, jakoby chciał dla stosunków własności przewrócić wszystko w społeczeństwie do góry nogami. Wydał on świeżo dzieło, które nosi tytuł: System ekonomicznych sprzeczności, czyli Filozofia nędzy. Postanowił z praktycznych stosunków wywieśdź, jakie jest przeznaczenie ludzkości, a potém wytknąć jéj drogę, którą dążyć powinna. U Francuzów filozofia znaczy co innego jak u Niemców: nie bada ona głęboko form, drog i ścieszek, po jakich myśl człowieka chodzi i na jakie rzuca się ubocza; nie wywodzi obszernie, jak przedmiot wpada w pojęcie człowieka; mało prawi o duchu bezmateryalnym, niedającym się snadno zachwycić człowiekowi, ale od razu rozwięzuje, co jest świat, co człowiek, co Bóg i trudni się szczęściem człowieka. Nie przypisuje ona wyrazom duszy, ale ma je za farby, ktore każdy sobie kombinuje w jeden koloryt z większym lub mniejszym skutkiem, a z obowiązku w tym celu, aby podnieść człowieka. Fran-

cuzka filozofia, którą ludzie form wyrazowych lekce ważyć zwykli, potrzebuje także pracy wieloletniéj, głębokości, ogólnego wykształcenia. Nie błyszczy tak pozorami naukowemi, ale za to troszczy się ciągle o wielką przyszłość. Nie jest ona professorem, ale jest tym, co nieszczęśliwemu stara się dopomagać, co go leczy, karmi i odziewa. Trudni się słowem, ale czyn nad wszystko przekłada; więcéj ceni społeczeństwo niż biblioteki. Nietroszczy się o ścisłą konsekwencyą w wykładzie; ale się troszczy o ścisłe przestrzeganie praw człowieczeństwa. Kiedy się téż kładą obok siebie dwie literatury francuzka i niemiecka w zgodzie, natenczas pokazuje się jak najwyraźniéj, że pierwsza rzuca nowe pomysły, a druga je sadzi w kawałki, anatomizuje. Jeżeli dwie te literatury uważają się w walce: natenczas pierwsza jest zaczepną, a ztąd dowolnie nadaje kierunek, bo ten, co nigdy z odporu do zaczepki nie przechodzi, musi od przeciwnika przyjmować miejsce wyznaczone do walki, musi taki dawać odpór, do jakiego przeciwnik go zmusza. Kto chce być uczonym, temu polecamy pisarzy niemieckich, kto chce ludzi kochać temu francuzkich.

Świercz na ognisku.

Czarodziejska powiastka *Karola Dickensa.*

PIERWSZE ZAŚWIERCZENIE.

Saganek zaczął! Wcale mnie nie obchodzi, co powiedziała Peerybingle. Ja wiem lepiéj. Peerybingle może zeznać do aktów dla wiecznéj pamięci, że niewiedziała, kto z nich zaczął, ale ja wręcz powiadam, że saganek. Ja przecie wiem dokładnie pomyślałem, saganek zaczął właśnie, gdy było pięć minut na małym ściennym zegarze, zanim świercz pierwszy raz zaświerknął.

Nie jestem uparty z natury, to wie każdy. Nie spierałbym się z Peerybinglą, gdybym nie był pewny mojéj sprawy. Ale tu chodzi o prawdę. A prawdą jest, że saganek zaczął, pięć minut wprzody, zanim świercz dał znak życia o sobie. Sprzeczajcie się zemną, a ja wam powiem, że było dziesięć minut.

Pozwólcie mi opowiedzieć jak było, jak się stało. Byłbym to zaraz od początku uczynił. Jeżeli mam opowiadać powieść, trzeba mi zacząć od początku, a jak można było zacząć, nie zaczynając od saganka?

Teraz powiadam wam, że był to pewien rodzaj walki o pierwszeństwo między sagankiem a świerczem. A jak się stało, opowiem:

Pani Peerybingle wyszła w czasie gęstéj mgły na podwórze, uderzając o mokre kamienie swemi drewnianemi trzewikami i wycisnęła niezliczone wykreślenia pierwszego zagadnienia Euklidesa na podwórzu, i naczerpnęła wody w saganek. Powróciła do izby z wyjątkiem trzewików drewnianych, a to wiele, bo były wysokie, a pani Peerybingle była bardzo małą, zastawiła saganek na ogniu. Przytém straciła dobry humor, a przynajmmniéj o nim na chwilę zapomniała; bo woda zimna i na pół zmarzła przecisnęła się przez trzewiki drewniane i zapoznała się z jéj palcami u nóg, a nawet ośmieliła się aż do łytek pani Peerybingle. Jeżeli mamy powód do chełpienia się z naszych łytek, i dla tego pończochy zgrabne i lekkie nosim, to chwila przeziębienia jest nader przykra.

Przy tém saganek był bardzo swarliwy, nie chciał na żaden sposób stać na trojnóżku, węgle mu się opierały. Pchał się nakształt pijanego naprzód i kapał na ognisko. Ciągle się swarzył i pluł głupowato w twarz ognia. Na domiar złego przewróciła się pokrywka w ręku pani Peerybingle i wpadła z genialnym uporem aż na sam spód saganka. Nawet zrąb okrętu Royal George nie opierał się tak wyciąganiu z wody, jak pokrywka broniła się wydobywaniu jéj z saganka.

Ale pani Peerybingle powróciła do zwykłéj wesołości, zacierała swe małe rączki, siadła przed sagankiem i śmiała się. Tymczasem trzaskał ogień i oświecał trzęsącym blaskiem kosiarza w ściennym zegarze, tak, iż się zdawało, że on się nie rusza przed pałacem arabskim, i tylko światło miga.

Ale on się poruszał i dostawał regularnie dwa razy kurczów na sekundę. Ale cierpienia jego były okropne, gdy godzina bić miała, a kiedy kukułka zakukała w zegarze, wtenczas trzęsło nim coś, nakształt głosu ducha — lub kawałka drutu, który go za nogi pociągał.

Dopiero kiedy okropny bunt, trzask i wrzawa uciszyły się pomiędzy wagami, powrozami i kółkami zegaru, wówczas kosiarz przerażony wracał do zmysłów. I nie bez przyczyny się przestraszał, bo te trzaskające, klepiące zegary są bardzo nieprzyjemne w swéj czynności, i dziwię się bardzo, jak mogli szczególniéj Holendrzy wpaść na myśl tego odkrycia.

Teraz dowiedzcie się, saganek wrócił do swego zatrudnienia wieczornego. Nastroił się melodyjnie, począł glegotać, kaszleć, chrapieć, ale co chwila ustawał, jakby nie chciał się jeszcze weselić. A po

dwóch lub trzech razach oporu rozśmiał się i począł rozwodzić swe melodye, jak jaki sentymentalny słowik.

A tak zrozumiale przy tém, doprawdy, moglibyście go zrozumieć, jak książkę, a nawet lepiéj jeszcze, jak nie jedne książki, którebyście wy i ja mogli wymienić. Gorący jego oddech wznosił się w cienkim obłoku wesoło i raźnie i zawisł w rogu komina, jak własne domowe niebo, i śpiewał tak wesoło, że kadłub jego żelazny nad ogniem brzmiał i lekko się kołysał, a nawet pokrywka, niedawno tak swarliwa, idąc za dobrym przykładem, tańczyła szkockiego i polkę na saganku.

Nie można wątpić, że pieśń kociołka była pieśnią pozdrowienia dla kogoś, który drogą w téj chwili spieszył zapewne do cichego dworku i do ogniska. Pani Peerybingle dobrze o tém wiedziała, siedząc przy ognisku. Ciemna noc, śpiewał saganek, a suchy liść leży na drodze, a pod nim same błoto. I tylko jedyna zawisła pociecha na tém siném powietrzu, a nią jest tylko mała plama ciemno-brunatna na niebie, gdzie słońce i wicher wytłoczyły znak spalenizny na obłoku, jako winowajcy tak przykréj pory. A ziemia zaległa długim czarnym pasem, szron zawisł na drogoskazach, a na ścieszkach śnieg topnieje, lud nie jest wodą, a woda nie jest wolną, i nikt nie może powiedzieć, że tak jest, jak być powinno; aleć on przybywa, przybywa, przybywa!

Teraz dopiero rozpoczął świercz swój śpiew wieczorny takim głosem, że zdawało się, że rozbryzgnie się na niepoliczone części, podobnie jak przesadzona prochem flinta.

Ale saganek nie ustał. Wytrzymał współzawodnictwo, jakkolwiek świercz był pierwszym skrzypkiem w téj orkiestrze i pieśń zawodzili daléj wesoło, zgodnie i coraz głośniéj.

Ładna mała pani — bo w rzeczy saméj była młodą i ładną, acz z okrągławego rodzaju — zapaliła świecę; pojrzała na zegar, na którym kosiarz dosyć obfite żniwo minut pociął i patrzyła przez okno i śród ciemności nie obaczyła nic, oprócz swéj twarzy, która się odbiła na szybie. Powróciła przeto do ogniska, gdzie świercz z sagankiem ciągle zawodził melodye.

W tém nagle zerwała się pani Peerybingle i pobiegła ku drzwiom, przed któremi rozwarło się prawdziwe piekło, przez zajazd woza, uderzanie bruku kopytami końskiemi, głos człowieka, nadskakiwania szczekającego psa i tajemnicze pojawienie się dziecięcia w pieluszkach. Zkąd się to dziecię wzięło nagle, tego nie wiem. Dosyć na tém, że żywe dziecię leżało na rękach pani Peerybingle, która ztąd niezmiernie się cieszyła, że ją zwolna do ognia pociągał, silny, barczysty mężczyzna, daleko wyższy i starszy aniżeli ona, i bardzo się musiał nachylać, kiedy ją całował. Aleć też warta była całowania. Wielkie to było poświęcenie przy sześciu stopach i sześciu calach wzrostu, przy sztywnych barkach.

O ty mój dobry Johnie! zawołała pani Peerybingle, jak ty wyglądasz po takiéj zamieci!

Bardzo źle wyglądał, to prawda. Gruba mgła zawisła w jego rzęsach, jak zmarzła rosa, szron i ogień błyszczały tęczą w jego brodzie.

Patrzno Dot, odpowiedział John zwolna, odwijając szal z szyi, i grzejąc sobie ręce, to nie śród lata, dla tego też niedziwota.

Proszę cię, nie nazywaj mnie Dot, Johnie. Nie lubię tego, rzekła Peerybingle z takiém przedłużeniem buziaczka, które dowodziło, że bardzo to lubi.

A więc czém jesteś, odrzekł John, i z uśmiechem patrzał na nią i ściskał i tulił tak ją do siebie, jak to uczynić mogła duża i silna ręka jego. „Punkt“ i — patrząc na dziecię — „punkcik.“ Nie chciałem powiedzieć, ale myślę, że prawie dowcip powiedziałem.

Nie raz coś rozsądnego powiedział, ten ociężały, ogromny i poczciwy John, ten John z tak ociężałym rozumem, a lekkiém sercem, ten John tak szorstki z zewnątrz, a z taką łagodnością wewnątrz, tak naiwny a tak dobry!

O matko naturo, daj twoim dzieciom prawdziwą poezyą serca, którą ukryłaś w piersi biednego furmana.

Ślicznie też wyglądała Dot, maleńka żonka furmana z dziecięciem na ręku. Z zalotną zmysłowością poglądała Dot na ogień i chętnie na bok główkę swą przechylała, aby w dziwny, na pół naturalny i napół zalotny, a zawsze piękny sposób wypocząć na szerokiéj piersi furmana. Piękny był widok, jak z serdeczną niezgrabnością starał się wesprzeć lekki ciężar ciężkim ogromem, kwitnącą młodość siłą wieku. Pięknie też wyglądała Tilly Slowboy stojąca w kącie lalka, zaledwie wyrostka, która z wielką pobożnością przyglądała się téj całéj scenie i całemi otwartemi ustami czerpała widok ten dla niéj niezwykły. A wiele razy John ręką już sięgał dziecka, tyle razy ją nagle cofnął z obawy zapewne, aby młodą latorośl nie złamać i dla tego z daleka i z pomieszaną dumą patrzał na nią, jak grzeczny brytan, kiedy mu się ulągł młody kanarek.

Wszak ładne dziecie, Johnie? Wszak ślicznie wygląda kiedy śpi?

Bardzo ładne, odpowiedział John. Bardzo, bardzo ładne. Wszak zawsze śpi, nieprawda?

Ależ mój Johnie! Przez Boga, nie!

Aha! rzekł John z namysłem. Rozumiałem, że zawsze ma oczy zamknięte.

Przebóg, Johnie, jakeś mnie też z duszy wystraszył.

Czyliż to nie dobrze, tak dziecko obracać! zapytał zdziwiony furman. Wszak prawda. Patrzno, jak obu mruga oczkami! A jaka buzia! Ono nią oddycha, jak złota rybka.

Doprawdy, ty niezasługujesz być ojcem, rzekła Dot z całą powagą matrony. Nie możesz wiedzieć, co dzieciom brakuje. Nie umiesz nawet nazwać chorób, na które dzieci cierpią. Potém położyła dziecię na lewą rękę, a prawą poklepała po krzyżykach dla wzmocnienia, a męża pochwyciła za ucho.

Prawdę mówisz, rzekł John, ściągając surdut, nie znam się na tych rzeczach, wiem tylko, żem się dziś bardzo naszamotał z wiatrem. Przez całą drogę dął wiatr od wschodu prosto do mojéj bryki.

Biedny, biedny mój Johnie! zawołała Peerybingle z rozczuleniem. Tilly odbierz odemnie dziecię, a ja się tymczasem zakręcę i ugotuję herbaty, a potém dopomagać będę memu Johnowi.

John tymczasem wyszedł na podwórze obaczyć, czyli chłopiec uwijający się przed oknami z latarnią jak ognik błędny, dostatecznie opatrzył konia, a koń był grubszy aniżeli myślicie, a tak stary, że jego urodzenie aż czasów zamierzchłych sięgało. Tymczasem pies ich domowy przezwany Boxer, wypełniał obowiązki rodzinne, wpadał i wypadał z dworku, to zakreślał w biegu koło około konia, którego przed stajnią ocierano sianem, to biegł ku pani domu, jakby ją chciał rozbić i stanął przed nią jak wryty, to budził zimnym swym nosem niańkę Tilly Slowboy, która siadła na ryczce przy kominku i za każdym razem krzyknęła z przestrachu, to zbytnie dziecięciu się łasił lub chodził powoli około ogniska, szukając miejsca na nocne legowisko, to nakoniec wypadł na podwórze, jakby czego zapomniał.

Otóż i herbata gotowa, rzekła Dot, tu masz resztę szynki na zimno, tu masło, a tu chleb, i oto wszystko! Przyniosłam ci téż koszyk ręczny do twoich paczek, któreś przywiózł Johnie. Ale Tilly pamiętaj, żebyś mi dziecka nie upuściła na kratę rozpaloną.

Wspomnieć musimy, że Tilly Slowboj rzadki i niepojęty talent posiadała do wystawiania dziecięcia na niebezpieczeństwa, a kilka razy o mały włos, co nie utraciło krótkiego swego życia. Tilly była to sucha i prosta postać, gładka jak deska, a ubiór jéj co chwila zdawał się spadać z ciała. A chociaż na wszystko patrzyła z zadziwieniem i zatopiona była w doskonałościach swéj pani i dziecięcia w pieluszkach, to wyznać należy, że ciekawość ta przynosiła zaszczyt jéj głowie i sercu, ale nie główce dziecięcia, gdy przy téj sposobności trącała nią o drzwi, szafy, poręcze i inne twarde przedmioty, z rzutnością, o któréj wcale nie wiedziała.

Prawdziwa była to roskosz widzieć, jak mała Peerybingle ze swym mężem wracała, pociągając za koszyk i natężając się z całéj mocy, aby nic nie robić, bo właściwie John niósł ten koszyk, a ona się tylko u niego uczepiła. I świerczyk zapewne się cieszył tym widokiem, bo zaczął świerczeć coraz głośniéj.

Słuchaj, rzekł John, dziś jest bardzo wesoły, nieprawda?

Pamiętaj, on nam szczęście zapowiada, Johnie. Zawsze nam to przepowiedział. Świercza mieć na ognisku jest rzeczą najszczęśliwszą w świecie!

John spojrzał na nią, jakby pomyślał, że ona dla niego jest nadświerczykiem, i że z jéj zdaniem zupełnie się zgadza. Ale i tę myśl porzucił, bo nic nie powiedział.

Pierwszy raz, kiedym usłyszała ten miły i dźwięczny głos świercza, było to w owéj nocy, gdyś mnie przyprowadził po pierwszy raz do tego dworku, do mojéj nowéj siedziby, jako małą panią tego domu, tak niedługo rok temu. Czy sobie przypominasz Johnie.

Tak, przypominam, rzekł John z namysłem.

Jego świerczenie mile mnie powitało! Była w tym głosie nadzieja i zachęta. Zdawało się, że mówi, iż ty będziesz dobrym i łagodnym dla mnie, i że nie znajdziesz na ramionach twojéj głupiuchnéj małéj żonki starą głowę.

John poklepał ją zatopiony w myślach po ramieniu i głowie, jakby chciał powiedzieć: nie, nie, tegom się nie spodziewał, byłem gotów tak cię przyjąć, jak byłaś, I miał słuszność, bo była ładna.

Świercz prawdę powiedział, Johnie, boś ty był zawsze najlepszym, i najwyrozumialszym mężem. Żyliśmy tu szczęśliwie, i lubię dlatego świercza!

Ja też go lubię, moja Dot, rzekł furman.

Lubię go, bo wiele, wiele razy przysłuchiwałam mu się, wiele mi myśli przypomniał. Nieraz w pomroku, kiedym siedziała sama i smutna Johnie, — nim to dziecię na świat przyszło i wniosło radość i towarzysza w dom nasz, kiedym pomyślała, jak ty byś był opuszczony, gdybym ja umarła, jakbym ja była opuszczoną, gdybym wiedzieć miała, żeś ty mnie stracił, mój drogi, wtenczas zdawało mi się jego świer-

czenie na ognisku jak głos z daleka zapowiadający tak słodko tak lubo szczęście, iż moja niespokojność zniknie, jak sen.

Ty wiesz mój Johnie, byłam bardzo młodą, rozumiałam, że nasze małżeństwo nie będzie szczęśliwe, bo byłam dziecięciem tylko, a ty więcéj moim opiekunem, aniżeli mężem, i że może nie nauczysz się mnie kochać, jakeś tego pragnął i życzył, wtenczas rozweseliło mnie świerczenie jego i napełniło nową nadzieją i nowém zaufaniem. Dziś wieczorem, czekając na ciebie, myślałam o tém i dla tego lubię świercza naszego.

I ja też, dodał John. Ależ Dot? Miałżem się dopiero uczyć kochania? Co ty mówisz! Tegom się wprzód nauczył, nim ciebie tu wprowadziłem na panią dworku i świerczyka.

Potém położyła rękę na jego ramię, patrzała na niego twarzą wzruszoną, jakby mu chciała coś powiedzieć. Ale za chwilę uklękła u koszyka, gwarzyła wesoło i zatrudniła się pakiecikami.

Nie masz ich dzisiaj wiele, Johnie, ale widziałam dwie paki większe za wozem, a choć cokolwiek więcéj zaciężą, to też więcéj przyniosą i dla tego nietrzeba narzekać, nieprawda? A po drodze też zapewne pooddawałeś rozmaite rzeczy?

Tak, rozmaite, odrzekł poważnie John.

Ale cóż tam masz, w tém okrągłém pudełku? Nie dałabym trzech groszy, że to placek na jakie wesele!

Weź tylko kobietę do pomocy, a ona wszystko wymaca, rzekł mrucząc pod nosem John. Mężczyzna nigdyby o tém nie pomyślał! Ale niechno placek weselny będzie w pudle od herbaty, w skrzynce, we faseczce lub w czémkolwiek zapakowany, już kobieta go odkryje. Zgadłaś, odebrałem go od cukiernika.

A on waży, nie wiem — prawie cały cetnar! zawołała Dot, udając, że z całych go sił podnosi. Dla kogo to Johnie?

Przeczytaj adres na drugiéj stronie, rzekł John.

Co, Johnie! mój dobry, kochany Johnie!

Któżbyto myślał, odrzekł John.

Przecież niepodobna, mówiła daléj Dot potrząsając głową, aby się ten placek miał dostać do Sauer i Tackeltona, fabrykanta zabawek dziecinnych. John przywtórzył.

Pani Peerybingle potrząsnęła głową najmniéj pięćdziesiąt razy, z miłosierném a niemém zadziwieniem i przeszyła wzrokiem na wylot poczciwego furmana. Tilly Slowboy machinalnie powtarzała wyrwane słowa z rozmowy dzięciu w liczbie mnogiéj: Saury i Tackeltony, fabrykanci zabawek, placki weselne u cukierników, a matki widziały pudełka, a ojcowie przywieźli do domu i t. d.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jana Chrzciciela Seja

niektóre spostrzeżenia nad ludźmi i społeczeństwem.

(Ciąg dalszy.)

Sztuka myślenia zasadza się na tém, aby dostatecznie zastanowić swoję uwagę nad każdą okolicznością, nad każdą rzeczą podpadającą pod zmysły lub uderzającą tylko sam umysł. Za pomocą téj sztuki nabywamy od dzieciństwa mnóstwo wiadomości i uwag potrzebnych w ciągu życia.

Najlepszy sposób leczenia obłąkanych i najlepsza edukacya dzieci zacadzają się na jednéj podstawie. Dzieci podobnie jak waryaci nie władają swoim rozumem; należy więc dać im uczuć, że potrzebują przewodników, aby nikt nie był ofiarą ich nierozumu. Jeżeliby chcieli wyłamać się z pod jarzma, niech wiedzą o tém, że w przód wolnémi być nie mogą, aż się nauczą rozumować, t. j. umieć wiązać przyczyny ze skutkami, tłómaczyć wypadki i naznaczać ich następstwa. Léczyć szalonego jest to nanowo rozpoczynać edykacyą dziecka. Dać edukacyą dziecku, jest to przywrócić rozum szalonemu. To ostatnie łatwiéj dokonać, bo łatwiéj być panem słabéj jeszcze istoty, niż dorosłego szaleńca. W jednym i drugim przypadku należy razem używać środków fizycznych i moralnych.

Bardzo słusznie z posłuszeństwa zrobiono dla dzieci cnotę. Jakoż, w rzeczy saméj, kto nie ma ani rozwiniętych władz umysłowych, aby sam mogł sądzić o rzeczach; kto jeszcze nie ma żadnych wiadomości i niczego nie może przewidzieć, nie powinienże dać się powodować temu, czyim nauczycielem był czas i doświadczenie?

Przesąd wykrzywia rozsądek nie tylko co do jednéj, ale co do wszystkich rzeczy. Jeżeli, wbrew świadectwu umysłów, powiem małemu dziecku, że królik równie wielki jak owca, i za pomocą różnych sposobów potrafią w nie wmówić, jakoby to było pra-

wdą, sąd jego będzie fałszywy nie tylko o wielkości królików i owiec, ale i o innych rzeczach. Od téj chwili to dziecko nie potrafi wierzyć swoim zmysłom, ufać swojemu sądowi. Nic mu się nie będzie zdawało ani dowiedzioném, ani rzetelném samo w sobie; umysł jego stanie się bojaźliwym i skłonnym do przyjmowania niedorzeczności za prawdę.

Rozsądek doskonali się przez wprawę tak jak wszystkie inne władze umysłowe. Kto go chce doskonalić, niech się wcześnie przyzwyczaja sam przez się sądzić o wszystkiém. Alboż ten, co chce być dobrym strzelcem, pyta się drugiéj osoby, kiedy dla wprawienia oka strzela do tarczy, gdzie jest cel? Rozsądek, nawet gdy się pomyli, odnosi pożytek, tak jak dziecko uczy się utrzymywać równowagę, ile razy ją traci. Chcesz-li, aby dziecko zdrowo sądziło? Pozwól mu samemu sądzić; nie daj mu nigdy gotowego zdania.

Narody oświecają się podobnym sposobem.

Wiele osób użala się na to, że dzieci mają fałszywe wyobrażenia i zapomina, że im takowe same wraziły. Słyszałem raz, jak pewna matka na zapytanie swego dziecka: czyje są obłoki? odpowiedziała: Pana Jezusa.

Dwojako zwykli rodzice psuć dzieci: raz, czyniąc zadosyć wszelkim ich wymaganiom; drugi raz, łając je za najmniejsze uchybienie. Oba te sposoby postępowania z dziećmi dają im zbyt wielkie rozumienie o sobie. Jakże w istocie ciągłe zajmowanie się niémi, nie mogłoby ich czynić zarozumiałémi? Pomiędzy wielu wadami, jakie ma Emil Jana Jakuba Rousseau, uderzającą jest ta, że autor zrobił z niego bardzo ważną i wielką osobę.

Dumny jesteś, widzę, przyjacielu, z wychowania jakie dajesz swoim dzieciom; cieszy cię to, żeś ukrył przed niémi przewrotność ludzką; zdaje ci się, że będą nieskażonémi, a ja się lękam... Czego? — Abyś ich przez to nie zrobił nieszczęśliwémi. — Jakto? — Chciéj mnie posłuchać. Czy wiész, co dziwnie sprzyja podejściu dobréj wiary? oto właśnie twoja zasada wychowania. Będę cię miał za szczęśliwego, jeżeli żadne z twych dzieci nigdy sobie nie powie: „Mój ojciec mnie oszukał. Wierzyłem w dobrą wiarę, któréj nie ma w świecie. Głupi, kto nie robi jak drudzy."

Zrozum mnie dobrze, proszę cię; ja ci nie powiadam: nauczaj występku: ale tylko: nie ukrywaj go, Występek odsłoniony w całéj swojéj nagości przedstawia widowisko pełne nauki, mające brzydką i piękną stronę, opłakane następstwa obok powabnych początków. Ty zachowujesz sam dla siebie, co do stosunków w codzienném pożyciu z ludźmi, wszystkie swoje podejrzenia i potrzebę używania środków ostrożności przeciw złéj wierze, chciwości i zepsuciu ludzkiemu! — a jednak powiedz szczerze: czy może być co użyteczniejszego i częstsze zastósowanie w codzienném pożyciu znajdującego nad tę naukę? Co może złéj wierze, chciwości i zepsuciu ludzkiemu silniejszy cios zadać?

Prawda, że podług téj metody musiałbyś sam postępować drogą cnoty, bo inaczéj podałbyś się w pogardę u swych wychowańców; ależ właśnie dla tego radzę ci przyjąć ją.

Widowiska sceniczne mają ten skutek dla młodzieży, która na nie za wiele uczęszcza, że ją przestają bawić. Przeciw wpływowi moralnemu tych widowisk, mogą sobie jak chcą, sarkać nabożnisie i ci pisarze, którzy się mają za prawodawców moralności, Bo do mnie, rozumiem, że wystawienie chwalebnych lub nagannych czynów, maluje zawsze pierwsze w korzystniejszéj barwie niż drugie. Sztuki dramatyczne są częstokroć dla wielu osób jedynym kursem historyi i literatury. One nam dają poznać ludzi i różne ich charyktery, rzecz arcypotrzebną w życiu towarzyskiém i mają niezaprzeczoną wyższość nad innémi zabawami, nie mającémi téj zalety, a czasem nawet nieprzystojnémi.

Zabawy kosztowne i huczne, wymagające licznego towarzystwa i robiące wiele wrzawy, powinny być rzadkiémi nawet dla młodzieży. Główna przyczyna tego jest w tém, że na takich zabawach osoby poważniejszego wieku wyglądają na głupców. Ilem mógł uważać, ktokolwiek w młodym wieku bywał uczestnikiem tego rodzaju zabaw, w dojrzalszym nigdy prócz podobnych okoliczności, nie okazywał się ochoczym. Owszem, w zwyczajnym biegu życia był on zawsze ponury, nudny i nieznośny tak dla siebie jak dla innych.

Częste zabawy czynią nadto nieuważnym i niezdatnym do zatrudnień i spraw ważniejszych. Jeżeli się zaś, mimo to, znajdzie kto do nich sposobnym, będzie w tém dowód przyrodzonéj jego zdolności. Ten przypadek rzadszy jest pomiędzy płcią żeńską niż męzką; ponieważ ta, ogólnie mówiąc, ma nad tamtą wyższość co do przyrodzonych usposobień. Dla tego rzadko się zdarza, aby nawykła do płochych rozrywek panienka została poważną i zacną niewiastą.

Wreszcie zabawy nałogowe dają się zawsze czuć licznym a nie majętnym rodzinom; w takim zaś razie musi jedno z dwojga nastąpić: albo jaka potrzeba domu nie zostanie zaspokojona, albo przyjdzie się płaszczyć o potrzebne na zaspokojenie jéj pieniądze.

Głupcy tylko utrzymywać mogą, jakoby wiek młody przeznaczony był na czcze rozrywki; wiek młody jest na to, aby w nim na całe życie nauczyć się czegoś dobrego. Na to przedewszystkiém trzeba pamiętać, i to tém bardziéj, że szczęście da się pogodzić z dobrém użyciem młodego wieku; i owszem, młodzież, któréj życie jest pasmem zatrudnień przeplatanych niekiedy skromnémi zabawami, doznaje rzeczywiście więcéj przyjemności niż młodzież oddająca się ciągle roztargnieniu i zgiełkliwym uciechom. Przy zatrudnieniach pożytecznych najmniejszy wypoczynek staje się miłą rozrywką, gdy tymczasem umyślne i zbyt częste zabawy są tylko osłoną nudów.

Matka, która szuka tylko sposobności do bawienia swych dzieci, nie pojmuje ani ich, ani swego ducha, podobnie jak ta, która im psuje żołądek niestrawnémi ciastkami. Wrodzona nam skłonność do uszczęśliwiania dzieci jest zaiste potrzebną do zachowania rodu ludzkiego; ale jeżeli nie zna granic, jest bydlęcym, częstokroć zgubnym dla pojedyńczych istót popędem. Natura nie wiele się zajmuje pojedyńczemi istotami; do nas należy poznawać na czém zależy dobro drogich nam istot i skłonności nasze poddawać rozumowi. Jestto jeden z najpiękniejszych przywilejów natury ludzkiéj.

Nie należy mieć nazbyt dobréj opinii o ludziach; nie wesprzą cię oni, kiedy masz prawo liczyć na ich wsparcie. Nie należy także bezwzględnie źle o nich sądzić; więcéj oni warci, jak ci, co nimi bezwarunkowo gardzą.

Człowiek mający pewne zasady napotyka innego, który nie ma żadnych zasad. Weszli z sobą w rozmowę i wnet poróżnili się. Który dla którego czuje więcéj wzgardy? Myślisz może, iż ten, który ma pewne zasady? Broń Boże! — ten, który nie ma żadnych.

Kto trwa w swém postanowieniu dla tego tylko, że to a nie co innego postanowił, dowodzi przez to, iż nawykł być upornym i niczego więcéj; ale kto trwa w swém postanowieniu dla tego, iż wszelkie inne postanowienie byłoby gorszém, okazuje prawdziwą tęgość charakteru.

Dla czego wyznawane przez nas zasady wpływają tak mało na nasze postępowanie? Oto dla tego, że potrzeba tęgiego charakteru, aby postępować według przyjętych zasad. Tęgość bowiem charakteru, inaczéj moc duszy, jest rzadkim przymiotem. Pospolicie ludzie działają według chwilowego natchnienia, albo według przyzwyczajenia, które jest natchnieniem każdéj chwili.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Nie dawno temu kupił znany Sir Robert Peel za 22,000 tal. obraz Rubensa wystawujący dziewcze w kapeluszu słomianym, za 8000 tal. drugi obraz tegoż mistrza, 10,000 tal. za obraz Down, za 6000 tal. nabył obraz Terburga, za 10,000 tal. obrazy Pawła Pottera i t. d.

— Zakupiono dla galeryi obrazów narodowéj w Londynie od roku 1824. do 1845. za 768,824 talarów obrazów. Za niektóry obraz płacono po 20,000 talarów.

— Donoszą z Berlina, iż tam przybył słynny Musard z Paryża z całą orkiestrą i daje koncerta w sali Krolla. Programmata sztuk odgrywanych przedstawiają uwertury, kadryle, tańce rozmaite. Sale zapełnione są w Krolla zakładzie ciekawą publicznością, która przy spijaniu szampana i jadle słucha najwyśmienitszéj gry francuzkich matadorów. Tak sztuka przenika teraz życie. Orkiestra sama przez organizacyą samą zdumiewa, dwa skrzydła jéj okrywają dwie bateryе kontrabasów, po sześć takich dwudziestoczterofuntowych dział z każdéj strony. Tym sposobem jeno można było założyć fundament na taki gmach harmonii i melodyi, które wylatują z blaszanych instrumentów, przechodzących przez wszystkie odcienia wynalazków. Gdzie tromby, puzany, rogi tenorowe i t. d. zastępują skrzypce, tam powinien bas fundamentalny spoczywać na ogromnéj kotwicy, jeżeli bałwany nie mają porwać całego okrętu harmonii nowoczesnéj. W exekucyi trudno sprostać berlińskiéj muzyce Francuzom, tak silne i śmiałe, pewne i zuchwałe są rytmy, z całą świeżością i czystością w przejściach, widać tryskającą krew silnego konserwatorium paryskiego w téj orkiestrze. Szczególniéj odznaczali się w odegraniu fantazyi z Hugenotów, kadryli z Sireny, ze swemi uderzającemi odskokami siły i uroku, a kiedy zagrali

galopadę fanatyczną, zdawało się nam, że widzimy cały rój bachantek rospalonych z rozczochranemi włosami, bujających w swywoli i roskoszy tonów. A kiedy zagrała orkiestra „Wolnego strzelca“ Webera, to znająca się berlińska publiczność stała się jedném uchem i tonęła w głębokiéj roskoszy, iż cudzoziemcy z taką lubością wykonali ich ulubione arcydzieło sztuki. Pan Musard kieruje śród panującéj burzy sterem z natchnienia, jak najbieglejszy sternik. Jego zasługi jako kompozytora i dyrektora są zarówno szacowne. Cieszą się przeto i roskoszują berliniacy, że ich stolica z Paryżem zbliżona jest za pomocą kolei żelaznéj trzechdniową podróżą, że kiedy im się zachce, a nie będzie Musarda w Berlinie, iż za nim i za jego orkiestrą polecą.

— Teraz kiedy bawełna strzelnicza tak rozsławioną została, a proch poszedł w zapomnienie, pokazuje się, że można strzelać okrom bawełny, pakułami, konopiami, lnem, trocinami i t. d. Przyjdzie może do tego, że i strzelać będą księżyca połyskiem, jak żartobliwie powiadali starzy. Niedaleko Poznania padł pierwszą ofiarą bawełny niewinny zając, a jednak uczuł, że twardo bije ołów, o mało téż jeden pojedynek nie odbył się za pomocą bawełny, ale dawne przywiązanie do huku potrzebnego przy podobnych wypadkach przemógł nad nowym wynalazkiem i strzelano się prochem po staroświecku.

MODY.

Paryż, dnia 6. Listopada 1846.

Ubiory na przechadzki jesienne są nadzwyczaj piękne. Widzimy tu szlafroczki z pekinu w paski atłasowe lub w kratkę w dwóch kolorach, n. p. niebieską i szarą, zieloną i czarną, szarą i brązową. Szlafroczki te z czarnych tkanin zdobią pasamonami, z któremi czasem sieczkę szklanną łączą. Rękawy są obcisłe, ozdobione trzema lub czterema mankietkami zwanemi muszkieterskiemi, które okrywają prawie całą dolną część rękawa. Gładki stanik ozdobiony jest stojącym kołnierzem, szerokości dwóch palcy, który wspiera kołnierz chusteczkowy. Ten jest w trójnasób koronkami oszyty. Te kołnierze zawięzują na wstążkę lub paskiem aksamitnym haftowanym złotem.

Wstążki bardzo się upowszechniły, jest to maleńki zbytek, którym pogardzać nie należy, ponieważ on toalecie nadaje zupełną skończoność. Wstążki tego roku są bardzo piękne. Wiele z nich jest z aksamitu w dwóch kolorach, srebrem, złotem i jedwabiem przerabianych; inne są tak szerokie, że tworzą pewien rodzaj szarfy, i owijają niemi szyję, a koniec oszyty jest fręzlą.

Nie masz sukni, któraby nie miała odpowiedniéj wstążki, chociaż zastósowanie bynajmniéj nie zawisło od podobieństwa koloru; owszem przeciwnie do ciemnozielonéj sukni biorą jasnozielone wstążki, do różowéj wiśniowe, do lilijowéj fijołkowe wstążki. Powinien się przy tém nad lub podcień na nich znajdować, co nazywają stylem regenta.

Na czepeczki biorą najczęściéj wstążki koronkowe, ponieważ ich przezroczystość bardzo odpowiada tulom i blondynom.

Blondyny coraz bardziéj się podobają naszym damom, ale nie mają na sobie grubych wzorów, które przed dwudziestu laty podziwiano. Szczególniéj używają ich na barbki i do kapelusików z maleńkim obwodem, które słusznie nazwano uwodzicielami. Dama używająca blondyn, krepy i piór do czarnych lub płowych swych włosów, powinna być piękną.

Kapelusze coraz bardziéj się zaokrąglają, zachodzą za lica tak dalece, że całą twarz obejmują. Zdobią zaś kapelusze atłasowe ukosami aksamitnemi, na inne kładą koronki i małe zasłony, które do główek mocują, ale zręcznie powinny po obu stronach obwodu spływać.

Widzieliśmy także czepeczki, gdzie czarne na białych znajdowały się koronki. Były wystrojone kokardami z czarnego aksamitu i wstążkami atłasowemi w różowym lub pąsowym kolorze, niektóre z nich były tylko pęczkiem róż ozdobione.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz atłasowy z girlandą winogradu i koronkami. Suknia z kitajki włoskiéj, orzucona sznureczkami. Mantilla aksamitna haftowana sznureczkami.
2. Kapelusz z niestrzyżonego aksamitu, piórem zdobny. Suknia jedwabna. Mantylla atłasowa koronkami czarnemi orzucona.
3. Kapelusz atłasowy oszyty koronkami i jedném piórem ozdobiony. Szlafroczek z aksamitu z dużą peleryną.

Redaktor *N. Kamieński*. Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki*.